



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieža i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

DOBRODUSZNE POMYŁKI.

W pewnej okolicy była droga, wytknięta bardzo dobrze, łącząca ludne miejscowości, szeroka i prosta, a jednak narzekali na nią ludzie, grzęzły wozy, padały konie, męczyli się podróżni; bo nikt tam nie umiał porządnie, praktycznie drogi utrzymać; naprawiano ją ciągle, ale źle, lichy, nieumiejętnie a kosztownie, i w istocie rzeczy pożytek gościńca równał się kłopotom, jakie sprawiał. Takich gościńców jest dużo w kraju naszym, a również ich wiele jest na szerokich przestrzeniach społeczeństwa, gościńców myśli, dążeń, idei, wytkniętych bardzo dobrze, łączących ludzkie potrzeby z zasobami na nie przeznaczonemi, w zasadzie pożytecznych i koniecznych, a jednak pełno na tych drogach pomyłek, zawodów, rozczarowań, kosztów i strat, zbłąkań i zawracań, szkody czasu, nakładu i ufności ostatecznie w własne dobre chęci.

Właśnie ta droga „dobrych chęci“ jest u nas bardzo szeroka, prosta i szczerą, a jednakże ogromnie omylna, pozbawiona ścisłych drogowskazów, rozszczepiająca się na rozstajne ścieżki, bałamucające zdrowe pojęcie rzeczy i nieprowadzące do pierwotnego celu. Te dobroduszne omyłki, zdarzające się tak często na drodze dobrych chęci, są niestety, dość obfitym objawem u kobiet i dlatego kilka słów tej sprawie poświęcić zamierzam. Pragnąc dobra w ogóle, dążyć do dobrego, do coraz lepszego, mieć w życiu wytknięte to piękne, wzniosłe „Excelsior“, to bardzo szlachetnie i tak być powinno; ale czynić dobrze, działać naprawę dobrze i pożytecznie, w rzeczywistość rozumną wprowadzać zamiar i pragnienie, to już jest bardzo dojrzałe i tak

być musi, jeśli owo szlachetne dążenie nie jest tylko chwilową zachcianką, czasowem uniesieniem lub potrzebą żywych uniesień, właściwą niektórym temperamentom.

Dojrzałość jednak umysłowa, dojrzałość woli, poglądów i działalności, jest niecodziennym przymiotem, rzadszym zresztą o wiele, niż, mianowicie u kobiet, dobroć serca, która właśnie będąc źródłem dobrych chęci, a niepoparta dojrzałością ducha, sprowadza — dobroduszne omyłki. Tym pomyłkom przypatrzmy się bliżej. Objawiają się one na trzech polach, mianowicie omyłki względem siebie samych, omyłki w obec osób, którym dobrze życzymy i omyłki idealne w obec społeczeństwa. Nic dziwnego, że mylimy się tak często co do siebie samych, bo poznać siebie, to rzecz najtrudniejsza, choćby nawet mądry Solon nie był tego zauważył przed wiekami jeszcze. Różne rzeczy sobie wyobrażamy, które albo wcale nie istnieją, albo pozornie tylko, albo zresztą w bardzo drobnym udziale. Iluż kobietom się wydaje, że są piękne, chociaż są tylko ładne, iluż że są ładne, choć są wprost brzydkie; inne mają przekonanie, że są zajmujące, a są przesadzone; że są wykształcone, a są tylko pozornie odcytane; że są poważne, a są tylko nudne; że są łagodne, a są tylko leniwe; że są ożywione, a są krzykliwe; że są dystygowane, a są sztywne i t. d. Ale to omyłki więcej zewnętrzne, są inne ważniejsze. Iluż się zdaje, nie tylko kobietom, ale młodemu w ogóle, no, i starszym czasem, że mają talent do muzyki, malarstwa i poezyi, zameczają siebie nauką, a drugich narzucaniem swego mniemanego arcyzmu, bo grają nieznośnie, malują bezbarwnie, a piszą wiersze okropne; do tego każda uwaga, przestroga, a tembardziej krytyczna prawda rani ich do żywego i wywołuje podejrzenia zazdrości.

Są to omyłki bardzo niebezpieczne, bo prowadzą do wielu rozczarowań, do ciężkich rozterek z ludźmi i do śmieszności. Ileż to naszych pa-

nien w dobrej wierze uczy się aż paru specjalności, przechodzą kursa krawieczyzny, buchalteryi, koronkarstwa, a rzadko kiedy szyją, rzadziej umieją porządnie obrachować się w własnych wydatkach, a owa samodzielność materialna, budowana na klockach koronkarskich, jest pajęczyną, którą każdy rozsądniejszy umysł zgarnie odrazu ze swej drogi i pozostawi w całości pająkom lub zakopiańskim góralcem, które nie innego pod ręką nie mają do roboty na swych rodzinnych skałach. Uniknąć tych pomyłek nie tak znów trudno, tylko nie lecieć chmarą, pędem za czemś nowem i modnem, choćby dobrem w gruncie; ale zatrzymać się i spytać: czy to dla mnie? a zbadawszy doskonale samego siebie, wybrać to, co nam będzie najpożyteczniejsze, do czego mamy istotne zdolności, co nas nie zawiedzie i przyjdzie nam najłatwiej bez zmęczenia, bo takie wymuszane na sobie talenta i specjalności, to na nic, to szkoda grosza i szkoda duszy na ten smutek, który się gnieździ w umyśle po rozczarowaniu i wysiłku daremnym.

A owe kosztowne hodowle kwiatów i osobliwych jarzyn przy skromnych dworkach wiejskich, owe niby oranżeryjki, jedwabniki, przedalnie domorosłe, w które wkłada się całe dni pracy, starań i pieniędzy moc, a niema z tego korzyści, bo nie myślano dostatecznie o gruncie, warunkach klimatycznych, cenie robotnika, możliwości zbytu, no, i pomyłono się, przedsięwzięcie żółwim krokiem, dla honoru sprawy ciągnie się dalej, a pełna dobrych chęci, niefortunna przedsiębiorczyni postępuje za swoim dziełem ze zwieszoną głową. Może zamiast karczochów dobra sałata byłaby się lepiej udała, zamiast jedwabników pszczoły, zamiast przedalnia chów gęsi na pierze, gałęzie gospodarstwa zwyklesze, a dające pewniejszy skutek czyli dochód, i pomyłek by nie było i żalów za daremne chęci i pracę. No, ale nie możnaby już

wtedy z dumą opowiadać: moje karczochy... moje jedwabniki... A to przecie taka ważna rzecz te efektowne złudzenia! Darujcie mi tę ironię, czytelniczki, ale widziałam tyle naiwnych pomyłek i złudzeń u kobiet, że pragnęłabym gorąco, aby ta fatalna roślina wypłeniła się z czasem do szczętu, a uczyniło się więcej miejsca dla rozważy, przezorności i tego jasnego wzroku, który przecie o kilka kroków w przyszłość rozróżnia pożytek od szkody, istotę rzeczy od pozoru. Ludzić się wolno tylko bardzo wcześniej, bardzo krótko i jedynie w marzeniach, ale w życiu codziennym, w pracy, w zawodzie, w obowiązkach, złudzenia takie są grzechem, który czasem srogo karany zostaje przez wynikające z niego skutki, ale kara nie wraca nam ani czasu, ani sił włożonych w podobną pomyłkę.

Łudzimy się dalej jeszcze w ważniejszych sprawach. Sądzymy, żeśmy bardzo wpływowi, że mamy w stosunku do ludzi ogromne znaczenie, a wcale tak nie jest; zaślepią nas pycha, chęć kierowania drugimi i urządzania wszystkiego na nasz sposób; więc narzucamy w dobrej wierze i w dobrej może chęci, swojeja—drugim i wyobrażamy sobie, że to jest wpływ nasz i znaczenie, a drudzy szemrzą i cierpią to tylko do czasu. Wtedy złudzenie pryska i pozostajemy odosobnieni z przykrem doświadczeniem w sercu.

Łudzimy się w wychowaniu dzieci, w kierowaniu młodzieżą, a z pomyłek tych wychodzą bardzo smutne skutki, nieporozumienia i starcia, tem przykrzejsze, że działaliśmy z dobrą wolą, ale z takim zaślepieniem, albo z taką pychą, że rozminęliśmy się zupełnie z prawdą psychologiczną i pedagogiczną. Chcąc czynić dobrze, czynimy źle. Widziałam raz w jednej ochronce na popisie małych dzieci, jak im jako nagrodę i upominek rozdawało parę pań opiekunek: różnokolorowe mydełka, flakoniki perfum, lusterka, wstążeczki na głowę i t. p. Drobnostki bez pożytku a zbyt kosztowne, które tylko bałamuca gust i pragnienia dzieci i wyrabiają w nich chętki, których rodzice nie będą w stanie zaspokoić. Takiej dziewczynce 6-letniej można dać naparstek, kilka motków bawełny i nici, igielnik z igłami; starszej nożyczki, druty do roboty pończoch, szydełko, w ogóle coś, co służy do pracy, co ma cel i sens; a jeśli chodzi o przyjemność dziecka, i coś ładnego, to medaliczek święty, książeczkę dla starszego, a że dzieci jak ptaki zawsze jeść mogą, to zamiast cukierków lepsze jabłka, bo to nie zaszkodzi i nie rozłakamia.

W jednej ze szwalni dostała na swoje imieniny córka 14-letnia mojej praczki, od koleżanek przesłaniczny abażur na lampę z iluzji i wstążek, a od nauczycielki—aksamitną ramę do dużej fotografii! Tu były dobre chęci, ale co za fatalna omyłka logiki, jaki brak zmysłu pedagogicznego, lekkomyślne podniecanie biednej dziewczyny do zbytku. Przedewszystkiem źle, że w szkole wolno koleżankom robić składki na podarki imieninowe, które nie powinny istnieć w obrębie szkoły, a cóż dopiero, kiedy składają się dzieci stróżów, rzemieślników, wyrobników na podarunek dla córki wyrobniicy! Ale gorzej daleko, że nauczycielka, osoba wykształcona, z szerszym poglądem na ludzkie stosunki, z dobrem widać sercem, tak lekkomyślnie obdarza biedną dziewczynę cackiem drogiem, a wcale jej niepotrzebnym, którego do tego nie miała gdzie u rodziców pomieścić, bo jakże tam w jednej izbie postawić aksamitną ramę, gdzie każdy kąt zajęty sprzętami gospodarskimi. Dziewczyna zażądała od matki kupienia półeczki na ścianę, żeby zbyt kosztowny prezent postawić, a że matka odmówiła, więc były beki i dasy i dziewczyna po swoich imieninach zrobiła się hardziejszą, niż była przedtem.

Widziałam znów pieszczocha, gagatka złego i próżniaka, który siedział drugi rok w klasie, a rodzice mu dogadzali, urządzając osobny pokój do pracy, biurko, fotel, jak dla emeryta, szafę do książek, mapy kosztowne i globusy, a chłopak zasypiał godziny szkolne, drażnił się z matką, a rozmowy z ojcem unikał, wydalając się z domu na miasto. I tym rodzicom się zdawało, że dobrze prowadzą swego syna! Szkół nie skoń-

czył, ale dokończył rodzicielskiego majątku, trwoniąc zapracowane przez ojca pieniądze, a matka zalewała się łzami, że jej dziecku „nie szczęściło się“ w życiu. Przedewszystkiem jego nieszczęściem było to, że rodzice nie mieli miary w uczuciu, wagi w rozumie i energii w czynieniu.

Takie pomyłki serdeczne, takie idealne zaślepienia prowadzą do klęsk domowych, od których tylko jeden krok do klęsk społecznych. Zatrzymamy się u tej ostatniej mety dobrodusznych pomyłek. Ileż to razy podejmujemy się czegoś, czemu nie podaliśmy, chociaż to są sprawy, dotyczące wielu jednostek, sprawy stowarzyszeń, instytucyj, zakładów, zgromadzeń, którym życzymy jak najlepiej, a jednak w dziwnym zaślepieniu, zdaje się nam, że dobrze życzyć to już wszystko, to już i umiejętność i wiedza i doświadczenie i takt i przezorność i energia. Nie posiadając tych wszystkich przymiotów, bierzemy na swoją odpowiedzialność ważne rzeczy, a gdy wszystko co trudniejsze krzywo iść zaczyna, powstajemy na świat i na ludzi i na nich zwalamy winę. Z osobliwą lekkodusznością bierzemy się nieraz do ważnych zadań, ufni w dobre zamiary i rozumiemy i rządymy z całą pewnością siebie tam, gdzieby trzeba uprosić specjalistów do rady i ze znajomością obszaru przedmiot. Wybornie tu się daje przystosować owo Mickiewiczowskie: „żywiły chęci jeszcze są w wojnie;“ u nas szczególnie w starciu, w rozminięciu się z działalnością, która wymaga dojrzałości ducha, umiarkowanego spokoju i tej wytrawności doraźnego sądu o rzeczach, która z każdego czynu wytwarza wypadek na czasie i miejscu, czy to w mniejszym zakresie, czy na szerokich polach społecznych.

Tam gdzie chodzi o dobro zbiorowe, tam myśleć się, poprawiać, zawracać niewolno, tam sama chęć nie wystarcza, dobro ogólne wymaga ogółu czyli całości ducha ludzkiego, więc i jego siły, światła, ruchu, prądu,—nietylko ciepła, a w ważnych rzeczach iść po omacku, to znaczy gubić sprawę, a siebie narażać na zarzuty. Sprawy jakiejś ogólnej niemożna też traktować ze swego punktu widzenia, jakoś prywatnie i stronniczo, a zdarza się to nieraz nam, kobietom, że np. popierając jakąś jedną instytucję, staramy się to czynić kosztem innej instytucji, wręcz nie mającej związku z wybraną przez nas, albo też popieramy ją tak, że właśnie jej szkodzimy naiwnością naszego serca. Dla jednego szpitalika zносиły panie herbatę po trzy ruble funt, a kartofli i mięsa brakło w spiżarni; mali pacyenci mieli kołderki kosztowne zagraniczne na łóżeczkach, a gdy wychodzili na świat, zdejmowano im koszulki nawet, które były własnością zakładu, a oddawano je matkom w szmatach, w których przyniesione zostały. Oto są dobroduszne pomyłki, które mogą u ludzi lubiących krytycyzm, wywołać uśmiech na usta, gdy mowa jest o racjonalnej pomocy dla biedy i nędzy.

A dalej idąc, na jeszcze szerszą arenę idei, dążeń, szerokich horyzontów przyszłości, z ilomaż dobroduszniemi pomyłkami patrzymy przed siebie, tracąc rzeczywisty grunt pod nogami, grunt prawdy pozytywnej która jedynie rozstrzyga w danej chwili i jest treścią życia społecznego. Wielki myśliciel i socjolog nasz Zygmunt Krasiński słusznie zauważył, że są trzy potopy: jeden z przyrody; woła drugi z ludzi barbarzyńcy, a trzeci z idealnych pomyłek i obłąkań. Ten trzeci potop trwa, ale ufać trzeba, że ludzkość dojrzwając coraz więcej, uratuje w mądrej arce duchowej równowagi wszystkie idee, które jej pomogą odbudować się na młodej ziemi przyszłości lepszą i doskonalszą niż była.

Ponieważ jednak wśród tylu pomyłek idziemy jeszcze, trzeba nam się ciągle upominać wzajemnie, trzeba sobie samym przytaczać owe słowa, które w starym Rzymie jadącemu na wozie tryumfatorowi powtarzał nad uchem niewolnik: „Cave ne cadas!“ (pamiętaj, żebyś nie upadł!) Wśród omylnych, złudnych dróg żywota, wśród trudnej fata-morgany psychicznej i mirażów zewnętrznych, z dobrą chęcią idąc naprzód gościńcem obowiązków naszych, przypominajmy

sobie często ową rzymską przestrożę, do naszych zastosowaną czasów: „Pamiętaj, abys się nie mylił.“

Szczęśna.

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Idealy niewieście poetek polskich

Studjum etyczne literackie.

(Dalszy ciąg).

Przechodzimy do Seweryny Duchinińskiej wieszczka wstrząsa czarnoksiężką swą różdżką i pod jej czarodziejским dotknięciem otwiera przed nami poezya swe zaklęte wrota—przenosimy się w inny świat, tak różny od dzisiejszego i daleki!

Oto dwór modrzewiowy, stary, otoczony wiankiem drzew szumiących,—dwór taki cichy, tak usunięty w samotność, tak wyłączony na pozór z burz wszelkich, walk i namiętności ludzkich dalekiego gdzieś świata, że patrząc nań sądziłbyś, że w nim sama tylko spokojność nie zakłócona mieszka i cichość patryarchalna, że na jego dachu wraz z bocianem szczęście ciche gniazdo zakłada, że do jego okiennic nigdy nieszczęścia duch nie zakolata... Przystąpmy próg wiekowy z pokorą, świętej należą starości: oto rodzina kołem otaczająca kominek — a miejsce przy nim zaszczytne ma niewiasta—matka... Trzaśnie kiedy niekiedy łuczywo w ognisku, świętą pieśń ciszy śpiewają sosnowe ściany, a ona powiedzie oczyma po zgromadzonych w koło niej dzieciach— z cicha westchnie i w bolesnym się smutku zaduma:

„Mrze z tęsknoty pierś macierzy —
Nie doliczyć drogich dziełek!...
Ku dalekim myśl jej bieży...
Kiedyż z niemi chleb przelamie?...
I polyka łzę po cichu...“

Lecz oto grom wśród posepnej uderza ciszy— przybywa wieść ze stron dalekich: „...już go niema!“

„Któż wypowie boleść matki?“ pyta poetka, boleść, która czyni ją w pierwszej chwili tak podobną do posagu Niobe:

„W ściętych ustach zmarło słowo,
Z pochylona stoi głowa...“

Lecz boleść nie skamieni jej na zawsze w posag nieczuły i zimny, bo w serca głębi tleje iskierka, co ożywia marmur, co wszelki ból koł iskra wiary... ona jedna wskazuje, gdzie szukać w nieszczęściu pociechy i pokrzepienia. Ożywiona nią i wyprowadzona z letargu boleści matka „potem zeicha się powlecze do stóp Bożej Rodzicielki“ i po ukrzepiającej modlitwie tuli do łona najmłodsze swe dziecię:

„Ach!... to samo niegdyś mleko
Tamten z piersi ssal matczynej!...“

Myśl ta nową falą boleści zalewa serce matki i potęguje smutek sieroctwa...

A oto nowy obraz, nowa scena wyjęta z życia rodziny patryarchalnej: umiera ojciec—głowa rodu—i już trup zimny na łożu śmiertelnym spoczywa; dokoła zebrana rodzina w żalu i cichej boleści: *Babka* wsparta o wezglowie, by jęknąć w piersi stłumie głuchy, twarz ukryła w miękkie puchy... u nóg płacze moja matka, zimne ojca nogi ścisła... „

Komuż przy czytaniu tych kilku wierszy nie stanie przed oczyma ten obraz bolejącej rodziny?

w całej jego wypukłości i prawdzie głębokiej!... komuż nie odcisną się w wyobraźni owe dwie niewiast postacie—wyraźne—żywe—jakby cielesnymi widziane oczyma!.. Nie wiele znam miejsc w poezji, gdzieby w paru krótkich wierszach zarysowywał się obraz równy powyższemu pod względem siły plastyki i bogactwa treści psychologicznej.

W osierociąlmym dworze zamieszkała jeszcze głębsza niż dotąd i posepniejsza cisza... po izbach staroświeckich widzimy przesuwaną się bez szelestu postać „we wdowiej szacie“, postać matki, która „wpółumarła po ciężkiej stracie“ całą swą troskliwość zwróciła ku małej córce, pielęgnując ją „jak oka w głowie“. Córka ta teraz

„...była dla niej wszystkim na ziemi,
Rosła oblana jej łzy cichemi...“

Polewając ten świeży kwiatek rosą łez, starała się matka obdarzyć go wonią wszystkich cnót duszy niewieściej.

Czasem — wieczorami — pozwoli jej matka „snuć z dziewczętami miękko przedziwo“ — gdzie przy warczeniu wrzeczona, słuchało się tyłu piosnek smętnych i dawnych powieści!.. Była to jedyna rozrywka w cichym i smutnym dworze.

A w sercu matki zawsze „żałoba na dnie, tylko modlitwą łagodzi rany“... Dogrobowy ten jednak smutek nie opanowywa jej wyłącznie, nie odbiera energii i nie czyni obojętną na obowiązki... Pielęgnując święcie w swej duszy smutek, który jak kwiecie wyrósł na mogile szczęścia dawnego, dzielna niewiasta spełnia obok tego sumiennie obowiązki matki, pani domu i obywatelki, krząta się zabiegliwie około gospodarki.

„Przy gospodarce wciąż się obraca,
Na jedne barki—ciężka to praca!
Pilnie w swym domu porządku strzeże...
Wszystko odwieczną tchnie tu prostotą...“

I tak w cichym smutku, w rozpamiętywaniu nie tylko minionego szczęścia, lecz w coraz częstszym już zwracaniu myśli ku życiu przyszłemu, w gorliwej a skrzętnej pracy, w sumiennym pełnieniu obowiązków, w modlitwie schodzi to proste, uczciwe, święte życie niewiasty...

Ale tak dawniej bywało... do takiego życia przygotowywało dawniejsze proste a surowe wychowanie w domu, kołysała do niego piosenka na nutę miłości i wiary... Dziś jest inaczej niestety!.. w inne łożysko dziś skierować pragną spokojny i cichy dawniej potok życia kobiety, inną nad jej kolebką śpiewają dziś piosenkę:

„Od marzeń strzeżmy pierś młodą...
Zadaniem dzisiaj niewiasty
Zbratać się z matką przyrodą...“

Dziś—według teorii ewolucjonistów — „papuga małpka“ się stała, nim wzięła postać kobiety... Smutna to i niezaszczytna genealogia, która babkę kobiety upatrywać każe w błotem zwalanej muszelce; do niej też dostrajają dziś pieśń nad kołyską dzieciny śpiewaną:

„Zmruż oczki, nie płacz dziecie,
Lulaj mi, żabko ty miła!...
Małoz to błota na świecie,
Bys w niem jak babka brodziła!...
Bądźże jak małpka figlarna,
A szczebiocz—istna papuzka...
Baw się, nim przejdą dni krasny,
Przyroda głosi nam hasło, —
Wiek inny—inne dziś czasy!...
Ot... i ognisko zagasło!...“

Kto wie! — czy nie lęka się poetka i nie prooczy, że z zagasnięciem ogniska, które nad kolebką świeciło dziecinie, nie zagasnie również ognisko domowe, ów święty Znicz, który ogrze-

wał i oświecał serca całych rodzin w społeczeństwie, a który musi zagasnąć, jeśli strzegące dotąd świętej w nim iskry Westalki odbieją go i pójdą służyć bóstwu innemu...

Nadto jasno zaznaczyła tu poetka stosunek swój względem ruchu emancypacyjnego kobiet, abyśmy potrzebowali wyżej przytoczone ustępy opatrywać w jakibądź komentarz... jednak jeszcze wyraźniej poglądy swój na kwestyę emancypacji kobiet sformułowała Duchńska w wierszu p. t. „Co lubi kobieta?“. Szkicuje w nim najprzód kilka typów niewieściech, jak np. rozbawionej, zalotnej, goniącej za uciechami świata, takiej, która „istna pszczołka—lubi z wonnych ziółek zbierać miody“ i takiej, co jak jaskółka gniazdeczko sobie ściele i wywodzi w nim „rój pisklatek“, w końcu takiej, którą wabi zdala urokiem owocu zakazanego „rajskie jabłuszko“. Jabłuszko to coraz barwę zmienia, coraz milej pieści oko—a wreszcie tak o niem wprost mówi poetka: „dzisiaj hasłem *wyzwolenia stumaniło wzrok niewieści*“.

Kobiecie, — która skarży się na „ciasne działła pole“, i żąda szerszych przestrzeni, by rozwinąć dane jej od Boga „skrzydła sokole“, — odpowiada poetka naszymi słowami, w których dźwięczy żal i litość dla błędnych jej wzlotów:

„O kobieto!... kto cię zdoła
Z tych utudnych wyrwać sidła!“

Radzi kobiecie, by pragnąc wznieść się po nad ziemię od Anioła raczej „promienistych pozycyli skrzydeł“, by wyżej sięgnęła jasnym czołem — po inną chwałę, która ją w życiu czeka, wyższą nad walkę z mężczyzną na gruncie umysłowym i społecznym, przestrzega ją, by dla wątpliwych korzyści materialnych nie zrzucała się dobrowolnie wysokiego swego posłannictwa, rzuca jej w końcu ostatnie słowo swego społecznego *credo*:

„Chcesz się dobić praw człowieka,
Ty, co możesz być Aniołem!...“

W tych kilku wyrazach streszcza się cały pogląd poetki na zadanie kobiety w życiu i na stanowisko jej w społeczeństwie.

Aniołem więc stróżem może i powinna być kobieta w życiu względem ukochanej przez siebie istoty, powinna być „jako gołąbka, co wnosi po burzy wesele w próg domowy“, „jako rosa dla duszy spragnionej, jej dłonią „Bóg zabliznia rany i pasmo nowych wskazuje dróg“; mocą swej wiary winna podnosić duchy zwątpiałe, koić i pocieszać bóle i smutki.

Ale aby odpowiedzieć temu wysokiemu zadaniu, kobieta musi sama mieć cnoty anielskie, musi mieć czyste szlachetne, tklive i miłujące serce, gotowe do poświęceń i ofiar bez granic; powinna mieć „piers niewychłodłą zwątpieniem“, lecz gorącą zapalem, i miłością, i wiarą, a rość powinna „z czołem ku niebu jak jodła, wciąż zapatrzona w Aniołów świat“... wierzyć ludziom — „wiarą bowiem serce jej wzbogaci“, być wyrozumiałą dla wad i słabostek ludzkich, i nie żądać doskonałości od ludzi:

„Lecz ideału nie żądaj od świata,
On słońcem pała tam—u Boga w Niebie!...
Do jego blasku nie dostrajaj ludzi,
Niech w tobie wzgardy słabość ich nie budzi,
Doskonałości tylko chciej od siebie!...“

Z innych zalet charakteru i serca kobietę cechować powinna potęga ducha obok gołębiej prostoty, silna wola obok wrodzonej skromności, wreszcie chrześcijańska pokora, w przeciwstawieniu do której pycha „wysuwa w głębi duszy źródło miłości“, i na zawsze pozbawia człowieka łaski Bożej. Wysoko cenić musi w kobiecie przywiązanie do ziemi rodzinnej poetka, która mówi o sobie, że do piosenki nowej potrzeba jej „czarów miejsc rodzinnych, jej krynicy, jej nieba, jej strzechy domowej“, dla której nawet „chleb ze swojskiego żyta“ ma smak inny...

Widzimy więc, że poetka nasza, aby odnaleźć w życiu typ niewieści jak najbardziej zbliżony do ideału, nieraz powraca myślą w kraj przeszłości, w którym świecą jej zdala jasne postaci niewiast w aureoli wszelkich cnót starodawnych. W dzisiejszym świecie — niestety! coraz mniej i coraz rzadziej spotyka Duchńska kobiet, przypominających cnotami swemi jej wniosły w swej prostocie ideał. Nie traci jednak poetka wiary w pierwiastek dobra, wszczepiony w serce każdej kobiety — i chociaż — jak widzieliśmy wyżej, zajęła stanowisko opozycyjne względem prądu emancypacji, nie stała się wszakże pesymistką w poglądzie ogólnym na współczesną kobietę. Wiare tę w sercu poetki naszej podtrzymuje może obok wrodzonej dla wad ludzkich wyrozumiałości i ta okoliczność, że tu lub owdzie wśród szarego tłumu spotyka jaką jednostkę jaśniejszą, kobietę o sercu czystym i świętym, do której może się zwrócić z serdecznym wezwaniem: „pospołu z nami siądź u ogniska — z błogosławieństwem, jak Anioł stróż!...“

Również chętnie — jak Duchńska — powraca myślą w kraj przeszłości po wydobyć z jej zmierzchu idealnych postaci niewieściech Anna Libera Krakowianka, która jednocześnie prawie z Duchńską wystąpiła na arenę autorstwa. Tylko że sięga ona skrzydłem wyobraźni jeszcze dawniejszych czasów — jeszcze głębiej zstępuje w przeszłość i wskrzesza przed nami postacie błogosławionych niewiast i świętych królowych polskich: oto błogosławiona Bronisława, — „oblubienica Chrystusa“ — która wzrosła w moźnym domu, wychowana wśród dostatków i szczęścia, przewyższająca równiennice krasą — wcześniej poznała marność i nietrwałość urody i dostatków ziemskich, wcześniej pojęła, że „nieśmiertelność płynie z cnoty“. Porzuca więc życie światowe, kosztowne szaty mienia na proste i skromne i w ustroniu klasztoru pędzi ciche i święte dni w gorącej modlitwie i w tkliwym rozmyślaniu pogrążona, a jaśni Aniołowie spływają do niej widomie.

Oto święta Salomea, córka leszkowa — „kwiatek czystości rajskiego ogrodu“, która zrzuca purpury królewskie a na „pieszczone członki“ wkłada włosienicę, porzuca puchy królewskiej pościeli, a urządza dla siebie łożo granitowe w skale Grodziska. Oto św. Kunegunda królowa polska, która będąc małżonką, pozostała w czystości dziewiczej, — wzór miłości ku bliźniemu, która „trędowate całowała“, a naśladowac pokorę Zbawiciela, umywała nogi ubogich i nędznych; mężna przytem i na ból wytrzymała rycerka, która do krwi się biczowała łańcuszkiem, a gdy ojciec jej, król węgierski, był w niebezpieczeństwie od wrogów, sama powiodła odsiecz i ocaliła ojca swego, „trzydziestu mężom wyrwijając miecze“. Oto wreszcie św. Jadwiga, królowa polska, wzór dobroci i miłości chrześcijańskiej, której „skazitelne ziemskie ciało anioła duszę chowało“. Pełniąc przykazanie miłości, ubogim rozdawała dostatki swoje, a wszystkie cnoty swoje skrywała od świata w pokorze; wiedziała dobrze o tem, że „kto na wyższym progu, więcej winien Panu Bogu, — komu więcej dał Bóg w życiu, ten więcej od innych czynić winien dobrego na ziemi. „by jak truteń wśród narodu, drobnym pszczołkom nie krał miody;“ rozumiała to dobrze królowa, i przez całe swoje życie gorliwie się starała wypełnić obowiązki dobrej pani i matki względem dzieci i poddanych swoich.

Te to dawne a wiekopomne cnoty pragnęłyby widzieć poetka w każdej niewieście współczesnej; pragnęłyby je mieć wszczepione od dziecka, wyssane z mlekiem matczynem, — zwraca się więc do matek z wezwaniem:

„O matki!... podnieście pienia!
Nad kołyski niemowlętek!...
W młode pokoleń nasienia
Zlewajcie skarby pamiętek.“

Ideał taki kobiety współczesnej stawia przed nami poetka w wierszu „Chłuba matki“, w którym widzimy matkę-wdowę, dziękującą Niebio-

som za „szczęście świetne,“ za to, że uwielbiło ją „jak królowę w córkach i synach,“

„Ze mi wieńcem z kwiatów, wóni,
Wieńcem stary nad innymi,
Koło wdowich smętnych skroni.“

Całą chlubę swoją, całą zasługę swego życia widzi w tem, że wychowała swe dzieci na dzielnych, dobrych i uczciwych ludzi. Od najmłodszych lat swoich dzieci dała im wszystko, co miała najcenniejszego — dała im „poświęcenie“ i nieraz czuwając w noc bezseną nad kołyską niemowląt, cieszyła się szczęściem przyszłym, bo już widziała wśród marzeń „jako w obłoku — z synów męża, — z cór anioły.“ Ubiegły szybko dni pełne starań i troskliwości macierzyńskiej, dni trosk i niepokoju, nadziei i marzeń dalekich; każda łza uroniona nad kolebką dziecięcą, „przeszła w perłę nieocenną,“ każdy mozoł „stał się dyamentem...“ Marzenia zamieniła rzeczywistością — i dziś największym szczęściem i dumą najwyższą matki jest to, że wychowani przez nią synowie „są poczciwi,“ a córki „cnotliwe.“

A oto druga jeszcze postać niewieścia, którą zna poetka: „z Polek najpiękniejsza, choć różną nie kwitną jej lica.“ ale za to „kрасniejsza nad inne wdziękami dobroci,“ której „żadna nie zrówna dziewica.“ Słodycz wielka i dobroć cechuje przedewszystkiem jej serce, słowa jej koją zbolące dusze. Sama skromna „jak fiołek w cieniu się kryje,“ — ale wszedłszy w domu jej progi, łatwo ją poznasz po „zapachu cnot,“ który jak „balsam drogi“ krzepi piersi wszystkich, którzy nim odetchną. Pracowita i pobożna, gdy jeszcze „ranek śpi w włosach jutrzeńki,“ ona już czuwa na modlitwie, „pracy powinnością odpycha sen miękki“ i przystępuje do gorliwego wypełnienia swoich obowiązków. Równie wzorową jest matką: budzi synów do pracy, lecz przed nią wzywa ich do wspólnej modlitwy, Bóg bowiem „błogosławi, kto Go wzywa rano — tak nasi ojcowie czynili.“ Pierworodnego swego wysyła w pole, by sam się jął pluga, i w ten sposób poznawszy trud i ciężar pracy, nie pomiatał sługą, lecz umiał cenić go za pomoc; młodszych do nauki zachęca, bowiem „przy mądrości cnota tkwi stała,“ — bogactwa i dostatki mamy z losu ręki i nie zawsze w tem nasza jest zasługa, „lecz co mamy z siebie — to nasze i z tego nam chwała.“

Wiersz kończy poetka słowami, że w tej kobiecie każdy odgadnie „prawdziwe starych plecion nowe nasienie.“ Patrząc na tę postać prawdziwie polskiej niewiasty, wzorowej matki i pracowitej domu gospodyni i obywatelki, zdaje nam się, jakobyśmy się cofnęli o parę wieków wstecz i słuchali pieśni pierwszej naszej poetki Oleśnickiej lub późniejszej, lecz bliskiej jej duchem Beniśławskiej: te same ideały niewieście — te same cnoty staropolskie i chrześcijańskie. I nie jest to pozornem tylko złudzeniem lub przypadkiem: rzeczywiście lutnia Anny Libery posiada struny, które dźwięczą nieraz zgodnie z zasadniczym tonem poezji obu wymienionych tylko co poprzedniczek.

Jest jednak inny jeszcze ton u Anny Libery, który zbliża ją do Drużbackiej: jest to ton satyry, ton cierpki nieraz i ostry, który z serca poetki wywołuje zepsucie moralne ogółu współczesnych kobiet światowych, widok tego olbrzymiego rozdziału, jaki odgranicza teraźniejszość od przeszłości, ideał od życia. Na upadek i moralne zepsucie kobiet współczesnych patrzy poetka smutnemi, łzą przyémionemi oczyma — i oburzenie i wzgarda w jej sercu walczy z litością i pragnieniem podniesienia serca i duszy kobiety do skali ideału.

(Dalszy ciąg nastąpi)

TEODOR KÖRNER.

Wierność do grobu

Ojczyzna, wolność i pragnienie sławy
Wzywa rycerza w chlubne boju szranki,
Lecz nim podąży w odmet walki krwawej,
Na pożegnanie śpieszy do kochanki.
„O nie płacz! porzuć łzy i żale!
„Nadzieja smutek twój niech koil!
„Do grobu wiernym będę stale
„Ojczyźnie i miłości mojej.“

A gdy ją już pożegnał i pocieszył,
Wnet złączył się z gromadką wiernych małą,
I do cesarza swego armii śpieszył,
I na zastępy wrogów spojrział śmiało:
„Ja śmierci się nie lękam wcale,
„Niech wrogów moja krew napoi!
„Z radością umrę, wierny stale
„Ojczyźnie i miłości mojej!“

Natarł na wroga w strasznym szale męztwa,
Od jego cię padają setki trupem;
Wszystkich bohater wiedzie do zwycięstwa,
Lecz i zwycięzca pada śmierci łupem:
„Krwi mojej purpurowe fale,
„Płyńcie! Ten śmierci się nie boi,
„Co był do grobu wiernym stale
„Ojczyźnie i miłości swojej!“

Przełożył

Władysław Nawrocki.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

— Ciociu, ciociu, — zawołała Magdzia, wpadając do pokoju, — jakieś wojsko jedzie drogą, o tam, w alei lipowej!

W istocie drogą szedł oddział zbrojny, a oficer prowadzący go, wjechał na podwórze i zatrzymał się przed gankiem. Był to pan Harasowski.

Wyglądał na trochę podpitégo, a w twarzy jego malowała się zuchwałość i dobre wyobrażenie o sobie.

Wszedł do sieni i nie zważając na nieśmiałe protestacje starego służącego, skierował się wprost ku komnacie, gdzie się znajdowały kasztelanowa z obu pannami. Stanąwszy przed zdziwionymi kobietami, począł, nie nie mówiąc, podkręcać węża, mrugając przytem prawem okiem.

— Co waćpan chcesz? — rzekła kasztelanowa wyniosłe, podczas gdy Ewa przytuliła się do niej.

— A cóż, odparł nowoprzybyły niedbale, — ujrzawszy przejazdem dwór piękny i okazały, pozwoiliem sobie wstąpić.

— Ale waćpanu zapewne powiedziano już na wstępie, że nie jest to karczmą, tylko dwór szlachecki, — rzekła kasztelanowa.

— Więc i cóż z tego?

— A to, że podobne odwiedziny nie są dla nas pożądane i proszę waćpana co prędzej od nich uwolnić, bo...

— Bo cóż mię czeka? — spytał drwiąco Harasowski. — Cóż to ja jestem Tatarzyn czy co, waszmośćepani chcesz mię wypędzić? Muszę przedstawić waćpani, jestem Harasowski, pułkownik wojsk jego arcyksiążęcej mości.

— Domyśliłam się tego, — rzekła kasztelanowa pogardliwie.

— Domyśliłaś się, mościapani? to i dobrze, odrzekł pan Harasowski, — to i dobrze, — zabrawszy tedy znajomość pro forma, i sądzę, że i teraz waćpanie nie wypędzą mię. No, daliśmy nie spodziewałem się, że tu ujrzę takie śliczności, — dodał, spoglądając na obie panny.

— Dość już tego! — zawołała kasztelanowa z gniewem. — Żabicki! — krzyknęła, klasnąwszy w dłonie. — Nie wiem po co ja trzymam tego starego niedołęę, który mi tutaj wpuszcza włóczęgów z całego świata.

— Ciociu! — zawołała Ewa, chwytając ją za strachem.

Lecz szanowny pan Harasowski tak dobiegł o sobie przekonanie, że niczem się nie oburzył.

— Nie bój się, waćpanna, — rzekł do Ewy, — przecie i ja znam politykę i nie będę się urażał o jakieś słowo, w prędkości wyrzeczono. Przytem, dodał znacząco patrząc na kasztelanową, słudzy waćpani, mimo najszczerzej chęci nie mogliby mi przeszkodzić wejść tu, bo pocztm stoi tuż przed bramą, na zawołanie. Powiedzieli mi w okolicy, — ozwał się po chwili, że stanął tu ze swą chorągwią jeden mój dobry towarzysz, więc zajechałem, by go odwiedzić i okazać tem, że już nie żywię do niego żadnej urazy z powodu drobnego zajścia, które kiedyś było między nami... Cieszę się bardzo z tego, że i waćpanie tu zastają...

Magdzia tymczasem z iskrzącem gniewem okiem patrzyła na drzwi, czekając, rychło-li pan Jan się ukaże i uwolni je od tego zuchwalca.

— Jakiegoż to przyjaciela waćpan tu szukasz? — spytała kasztelanowa z pogardą. — Uprowadzam, że go tu nie znajdziesz.

— Waćpani chcesz mię oszukać, — odparł Harasowski, ale daremnie, — ja wiem dobrze, że pan Ługowski znajduje się w tym domu.

— Co? więc on jest przyjacielem waćpana? — zawołała kasztelanowa z niedowierzaniem, — Ewa zaś zbladła i rzekła cicho:

— Ach, ciociu, wyjdźmy, wyjdźmy ztąd! Bój się zostawić tu ciocię, a nie mogę dłużej patrzeć na tego człowieka!

W tej chwili drzwi się otwarły i w próg stanął pan Jan.

— A, jesteś waś, — zawołał Harasowski, zbliżając się ku niemu z wyciągniętą ręką, przy czem znać było, że niezbyt pewnie trzyma się na nogach — a mnie tu chciano oszukać, że ciebie już niema. Co prawda, dobrą waś sobie wbrałaś kwatere.

I zaśmiał się śmiechem ochrypłym.

Pan Jan cofnął się przed podaną dłońią, — czemu Harasowski nie spostrzegł — i rzekł, ściągając brwi:

— Cóż waszmość tu sprowadza? Czy może jakiś rozkaz z głównej kwatery arcyksięcia?

— Rozkazu nie ma żadnego, tylko chciałem waś odwiedzić, dowiedziawszy się, że stoisz tak blisko. Ja stoję tu zaraz, w sąsiedniej wiosce. Gdyśmy ostatni raz byli z sobą, posprzeczaaliśmy się trochę o tego podstarościego, którego chciałem powiesić, — pomnisz waś? Otóż przybyłem, by ci rzec, że wszelką urazę ku tobie puściłem już w niepamięć, i mam nadzieję, że wypijemy razem na zgodę po kieliszku wina, które tu zapewne się znajdzie...

Kasztelanowa, słysząc słowa Harasowskiego, rzuciła na pana Jana spojrzenie piorunujące.

— Nie wiedziałam, że masz waś takich przyjaciół, — rzekła tonem pogardliwym, — ale nie chciałem waszmość tak zrobić, żebyśmy my przyjaźni nie były narażone na podobne odwiedziny...

— Więc człowiek ten powiedział, że jest moim przyjacielem? — spytał szybko pan Jan, a rumieniec wstydu i oburzenia okrył mu czoło, na myśl, że posadzono go o przyjaźń z człowiekiem...

kiem, który na obliczu swem nosił już znamię upodlenia i upadku. Spojrzawszy na twarz Ewy, dostrzegł na niej wyraz takiej odrazy, że serce mu się scisnęło.

— A waćpan chciałby zaprzeczyć temu? — odparła kasztelanowa ostro.

— Nie, tylko okazać, jak dbam o tę przyjaźń, — rzekł z przybranym spokojem.

Przez ten czas Harasowski, nie zważając na to co mówiono, przechadzał się po sali, pogwizdując i podpitym wzrokiem wodząc po portretach.

— Ale, ale, — ozwał się po chwili, — czy wiesz waś, że rawscy łyczkowie próbowali stawiać mi opór i nie chcieli nic dawać, ale jak moi żołnierze trochę poturbowali burmistrza i ławników, tak zaraz zmiękli, i już nie robili żadnych ceregieli, zwłaszcza gdy dla postrachu kazałem powiesić jednego żyda...

Lecz ledwie domówił ostatnich słów, gdy pan Jan stanął przed nim z okiem błyszczącym, tak, że aż Harasowski cofnął się o parę kroków, pytając wcale innym już głosem:

— Ale cóż to się waszmości stało, że się na mnie tak patrzysz?

— Chciałem ci tylko powiedzieć, panie Harasowski, — rzekł pan Jan głosem przyciszonym, bo gniew go dusił, — żebyś się natychmiast wynosił ztąd, i przed nikim, rozumiesz mię? przed nikim nie śmiał chwalić się przyjaźnią ze mną, bo pożałujesz tego...

— Co mi waś będziesz tu groził! — rzekł Harasowski, głos podnosząc. — Nie boję się ciebie, niedaleko ztąd stoją moi ludzie, — niech tylko krzyknę a zaraz tu przyjdą!

— Lepiej waś nie podnoś tak głosu, — rzekł pan Jan cicho, kładąc mu rękę na ramieniu i patrząc w oczy groźnie.

— Albo co? — rzekł Harasowski, zaczynając tracić jakąś minę.

— Popatrz-no waś tam w okno, a zobaczysz.

Harasowski spojrział w okno i spostrzegł kilku dragonów, czekających na ganku.

— Wiedz waś o tem, że i ja mam także moich dragonów na zawołanie, — rzekł pan Jan, — a więc mi nie groź, tylko wychodź co prędzej, nie czekając, aż ci oni w tem dopomogą!

To mówiąc, otworzył przed nim drzwi szeroko.

— Szalony, szalony! — mruknął Harasowski, ale począł się cofać ku drzwiom.

Gdy się znalazł w sieniach, krzyknął głośno:

— Ja ci tego nie daruję, — zdasz mi jeszcze rachunek!

— Pierwej się waś postaraj pewniej trzymać na nogach, a potem pomówimy o rachunku! — odrzekł pan Jan pogardliwie.

Harasowski wyszedł wściekły a wskoczywszy na koń, popędził ku swoim.

— A co, czy waćpanie dotąd mię jeszcze posądzacie o przyjaźń z tym człowiekiem? — rzekł pan Jan do kasztelanowej, — a w głosie jego brzmiał pewien wyrzut, więcej jeszcze stosujący się do Ewy, jak do niej.

— Nie, nie, przekonałeś nas waszmość, — rzekła kasztelanowa z uśmiechem podając mu rękę. — Daruj, żem cię zrazu o to posądziła.

— Patrzcie, — dodała, spojrzawszy na bladą i milczącą Ewę, — ta dziewczyna naprawdę zlekła się tego nicponia. Przyjdźże do siebie, Ewuś, widzisz, że go już nie ma.

— Poszedł, poszedł już sobie! — wołała tymczasem Magdzia skacząc i klaszcząc w ręce, — a jaki był zły! — I dodała, naśladowując gruby głos Harasowskiego: — Ja ci tego nie daruję! — aż Ewa drgnęła, na co Magdzia wybuchała szczerym śmiechem i tak jej się to podobało, że zaczęła powtórnie coraz grubszy głosem:

— Ja ci tego nie daruję!

— Magdzia to zuch, nie zlekła się wcale, — rzekła kasztelanowa, gdy Ewa się oddaliła do swego pokoju. — Ewcia uciekła, bo jej wstyd, że się tak przestraszyła...

— O, nie, pani kasztelanowo, — rzekł pan Jan z goryczą, — ja sędzę, że panna Ewa uciekła raczej od mego widoku!

— Waćpanu to także dziwne pomysły przychodzą do głowy, — rzekła kasztelanowa, ruszwszy ramionami. — Czego by miała uciekać od ciebie, — czys jakiś zbój, albo wyrodek?

— Ani jedno ani drugie, tylko bardzo urodziwy kawaler — prawda ciociu? — rzekła Magdzia, śmiejąc się. A wspiawszy się na palce, wzięła go obu rękami za głowę i obróciła jego twarz ku sobie, mówiąc z wielką powagą: — Nie możesz się wprawdzie równać co do urody z panem Harasowskim — ale cóż robić; przyjmijem cię już takiego jak jesteś...

I rozśmiała się znów serdecznie; — poczem zaczęła wołać na niego:

— Schyl-no się, boś taki duży, że nie mogę dosięgnąć!

Pan Jan schylił się posłusznie, a ona, głaszcząc go po głowie, mówiła:

— Rada jestem, bardzo rada dzisiaj z waćpana...

— Ale tobie samej snać wróble w głowie latają dzisiaj, — ozwała się kasztelanowa, grożąc jej palcem.

— To nie, ciociu, ale za chwilę znów będę poważną i stateczną niewiastą, — rzekła Magdzia. — Czasem mi się nawet zdaje, że jestem starszą od Janka i Ignasia.

— Tak, tyś już była wtedy nawet starszą ode mnie, gdy cię na rękę nosił, — odrzekł pan Jan, uśmiechając się z całą pobłażliwą wyższością starszego brata.

— Bardzo być może, — odparła Magdzia, — a nawet to tak z pewnością być musiało...

Wieczorem kasztelanowa rzekła do wszystkich:

— Moje dzieci, ukończyłam już szczęśliwie wszystkie sprawy majątkowe i możemy już jutrze jechać. — I dodała, zwracając się do pana Jana. — Ciesz się waszmość, będziesz wkrótce wyzwolony od obowiązku opiekowania się nami, na który pewnie wyrzekałeś w duchu.

— Nie był on tak ciężkim, żebym aż miał na niego wyrzekać, — odrzekł pan Jan.

— Mówisz jak na grzecznego kawalera przystało, — odrzekła kasztelanowa z uśmiechem, — ale ja wiem dobrze, że ta służba przy nas dała ci się we znaki.

To mówiąc, spojrzała na Ewę, która wciąż milczała.

— A może ty byś Ewciu chciała dłużej trochę tu zostać? — zapytała ją kasztelanowa.

— Nie, nie ciociu, — owszem, chciałabym wyjechać już jaknajprędzej, — rzekła Ewa z dziwnym pośpiechem.

Magdzia w ostatnich dniach pojąć jej nie mogła i łamała sobie głowę nad tem, co z nią się dzieje. W jej zachowaniu się bywało chwilami coś gorączkowego, a gdy została sama, nieraz płakała, albo też padała na kolana i zaczynała się modlić, w całej zaś jej postaci widniała rozpacz, jak gdyby w duszy jej toczyła się jakaś ciężka walka. Czasem Magdzia zastawała ją tak we łzach, a wówczas na jej troskliwe pytania Ewa odpowiadała:

— Nie, nic mi nie jest, — to tylko tak... sama nie wiem czemu zaczęłam płakać... Ale to przejdzie.

Biedna Ewa rzeczywiście nie rozumiała sama dobrze co się z nią dzieje, a raczej sama przed sobą nie przyznawała się do uczuć, które nią miotaly i które uważała za grzeszne. I dlatego z takim pośpiechem przyjęła wieść o wyjeździe, sądziła, że ucieknie od tego, co ją prześladowało i dręczyło.

— O, jaka ja jestem grzesznica! — mówiła w duchu ze zgrozą ukrywając w dłoniach twarz zarumienioną. — Ja, która przyobiegałam Bogu poświęcić całe moje życie, służyć mu całą duszą i sercem! O, ja powinnam właśnie dlatego pójść do klasztoru, aby odpokutować za to!

Za co, tego nawet w myśli nie śmiała powiedzieć. Chwilami czuła się tak strasznie nieszczęśliwą, że sama już niewiedziała gdzie szukać pomocy i pociechy; modlitwa nawet ją nie uspakajała, bo nie była taką jak dawniej, pełną skupienia, różne obce myśli ją rozrywały.

Nazajutrz zdawała się trochę spokojniejszą, ale wciąż była bladą i milczącą.

Pan Jan również tego dnia jakoś dziwnie był nieswój i także milczał; a że oboje siedzieli naprzeciwko siebie, więc często wzrok ich biegł w jednym kierunku i spotykał się z sobą; wówczas oboje rumienili się i odwracali oczy w drugą stronę, poczem jednak Ewa podniosła głowę dumnie i rzekła do kasztelanowej głosem spokojnym:

— Więc jutro jedziemy, ciociu?

— Tak, moje dziecko, właśnie idę zaraz, by zarządzić przyborami do podróży, — odparła kasztelanowa, i wstała, kierując się ku wyjściu.

— Ja ciotecznie pomogę, — zawołała Magdzia, biegnąc za nią.

A zatrzymawszy się jeszcze w progu, rzekła, skinawszy do pozostałych główką żartobliwie:

— No, moje dzieci, myślę, że chyba nie pokłóćcie się tu bezemnie!

To rzekłszy, frunęła za kasztelanową.

Po dobrej godzinie powróciwszy do sali, zastała już tam tylko pana Jana.

— A gdzie Ewcia? — zapytała go.

Nie na to nie odpowiedział, lecz Magdzia, spojrzawszy mu w twarz, zawołała:

— Znowuście się kłócili? Doprawdy, Janku, to już nie do zniesienia!

— Masz słuszność, to już nie do zniesienia! — zawołał gwałtownie. — Bardzo jestem rad, tak, nadzwyczaj się cieszę, że się to już wreszcie kończy! Pójdę znów gdzie mię oczy poniosą, choćby pod kule nieprzyjacielskie, byle tego nie znosić dłużej!

— Ale cóż to się stało? — pytała Magdzia dalej. — Dlaczego Ewcia odeszła?

— Bo się r zgniewała na mnie, za to, że powiedziałem, iż wolę stokroć prawego i uczciwego dyssydenca, niż lada jakiego katolika...

— Jakto? Tyś jej to powiedział?

— A powiedziałem, bom zły był, — zresztą sam nie wiem z kąd przyszło do tej rozmowy i jaki dyabeł wywołuje zawsze sprzeczki między nami! A czy wiesz co mi odpowiedziała: „Potem wszystkim co waćpan rzekłes, sędzę, że nie mamy sobie już nic do powiedzenia.“ I wyszła. Niech i tak będzie! myślę i ja, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia!

— Złe, bardzo złe, — mówiła Magdzia poważnie, — teraz to już jesteś zgubionym w oczach Ewci!

Pan Jan usiadł i wsparłszy głowę na obu rękach, patrzył przed siebie ponuro; wyglądał na tak nieszczęśliwego i zrozpaczonego, że Magdzia żałowała go zrobiło niezmiernie. Z jakimś napół macierzyńskim uczuciem podeszła ku niemu, i ruchem łagodnym i serdecznym, tak jak to czyniła niedgys w dzieciństwie, gdy był smutny, objęła go rączką za szyję. Ruch ten, więcej niż wszelkie słowa, mówił mu, że w niej ma zawsze przyjaciółkę i najwierniejszego sprzymierzeńca, który gotów wszystko dla jego szczęścia uczynić. To też spojrział na nią z wdzięcznością, czując w tej chwili najlepiej całą wartość tego przywiązania głębokiego i stałego.

Nagle drzwi się otwarły i weszła kasztelanowa:

— A, jest winowajca! — rzekła z uśmiechem, ujrawszy pana Jana. Cóżes waćpan nabroił? Ewa przyszła nadzwyczaj oburzona na ciebie, nie chciała mi nic powiedzieć, ale widziałam łzy w jej oczach, Pięknie, bardzo pięknie! Spuszczasz waś teraz oczy, ale to nic nie pomoże, musisz mi się przyznać, co tutaj nabroił!

Magdzia wówczas opowiedziała co zaszło; w miarę jak słuchała, kasztelanowa przybierała coraz surowszy wyraz twarzy.

— Więc chyba prawdę mówiono o waszmości, że skłaniasz się ku dyssydenckim nowinkom? — rzekła, — badawczo patrząc na pana Jana, podczas gdy Magdzia wysunęła się z pokoju.

— Pani kasztelanowo, — odrzekł — to posądzenie jest nieślusne, nigdy nie myślałem o zmianie wiary; ale czyż dlatego mam koniecznie potępiać tych, co wierzą inaczej niż my? Wszak w tych rzeczach człowiek odpowiada tylko przed Bogiem i własnym sumieniem, i byłoby...

— Co mi to waść prawisz! — przerwała oburzona kasztelanowa. Dziwi mię to, że śmiesz otwarcie wygłaszać takie zdania.

— Nie powziąłem ich sam z siebie, — odrzekł spokojnie. Dużo ludzi światłych, pomiędzy wyżej położonymi i panującymi nawet, wyznaje te same opinie.

— Nie wiem tylko gdzie ich waszmość spotkał takich, bowiem wszyscy przyznają, że arcyksiążę, jak cały dom rakuzki zresztą, jest gorliwym katolikiem, więc nie sądzę, by w jego obozie...

— Sam Maksymilian nie wiem, ale w jego obozie wiele wysokiej szlachty, choć prawi katolicy, wielkie okazują współczucie dla kalwinów czeskich i dla mężnego hrabi Turn, który broni ich swobód religijnych i politycznych.

— Wszystko to bardzo pięknie, — rzekła kasztelanowa — ale takie przekonania mogą daleko zaprowadzić waćpana, — dalej niż myślisz; i twój ojciec nie od razu... rewokował, — wiedz o tem. I, — dodała po krótkiej przerwie poważnie, — że wiedz także, mówię to w imieniu chorążego — rodzina wyrzeknie się ciebie zupełnie, gdyby to co mówiono o tobie, stało się z czasem prawdą, bo nie chce mieć w swem łonie drugiego hereetyka. — Dotąd jeszcze, — mówiła, łagodniej już patrząc na zbladłego nagle młodzieńca, — dotąd miałeś otwartą drogę do powrotu, zastanów się więc... Mówię ci to, gdyż wyznaję, iż byłoby mi cię szkoda, gdybyś się zmarnował...

— Pani kasztelanowo! — zawołał z bólem w głosie, — jeśli wiecie wszystko, dlaczego więc nie chcecie zrozumieć, że ja nie mogę, nie powinienem potępiać takich ludzi, nie mogę rzucić na nich kamieniem, by on nie spadł na głowę mego ojca. Cokolwiek by się stało, choćbym miał wszystko przez to utracić, choćby się wszyscy mię wyrzekli i odwrócili ode mnie, ja nie odwrócę się od mego ojca, nie potępię go i nie pozwolę, by go potępiano w mojej obecności! Niech usta moje zamkną się raczej na wieki, zanimbym ja, syn, miał słowo choćby jedno dorzucić do tych oskarżeń, jakimi obsypano pamięć tego, któremu nigdy nie oddawano sprawiedliwości...

— Bardzo to zacnie tak szanować pamięć rodzica, — rzekła kasztelanowa, poruszona temi słowami, wypowiedzianymi z zapalem, który nie dawał wątpić o ich szczerości, — boć ojciec zawsze jest ojcem i dzieciom niewolno go sądzić. Zupełnie też nie ganię waszmości tych sentymentów, — ale wiedz o tem, że w ostatnich momentach życia on sam zdawał się żałować tego postępu i nie chciał, by syn szedł w jego ślady. Świadczy o tem list, napisany przed zgonem, o którym wiem, i w którym, polecając raz jeszcze syna opiece chorążego, wyrażał nadzieję, że będąc wychowanym w domu, rządzącym się tak surowymi zasadami, nabędzie stałości przekonania, — a zarazem prosił brata, by postępek jego zachował w tajemnicy przed synem, z czego można wnosić, że sam pojmował, iż zbłądził i że odstępstwo nie dało mu ni szczęścia, ni spokoju duszy. Że nie życzył sobie także, byś Zborowskim służył, to widno z tego, że zalecił usilnie, byś się udał do pana Jazłowieckiego i pod jego kierunkiem ćwiczył się w wojennem rzemiośle...

Pan Jan słuchał jej z wielkiem wzruszeniem.

— Teraz rozumiem, dlaczego stryj trzymał to w tajemnicy! — zawołał.

— Stryj szanował tu ostatnią wolę waćpanego ojca, — odparła kasztelanowa. List ten miałam w ręku, jest on dotąd u chorążego; w czasie ostatniego widzenia się z nim, dawał mi go czytać i wiernie powtórzyłam co w nim było. W owym to czasie do uszu szwagra doszły pogłoski o waszmości, które mu ciężką boleść sprawiły; śmiało rzec mogę, że nigdy go nie widziałam tak pognębionym, jak wówczas. Poznałam, że mimo wszystko, zawsze cię miłował i gotów był przebaczyć, gdybyś był zwrócił się ku niemu, a nie brnął coraz dalej. Wyznał mi, że oczekiwał wciąż twego powrotu, i z pewnością byłby cię przyjął wówczas z otwartymi ramionami...

— Ale teraz, teraz... — szepnął pan Jan, słuchając ze spuszczoną głową słów kasztelanowej.

— I teraz wszystko leży w ręku waszmości, — rzekła kasztelanowa. Odstąp tej party niegodnej, która wespół z obcymi kraj swój najeżdża i niszczy, wyrzec się jej na zawsze, a rodzina przyjmie cię znów do swego łona i przestanie być odrzuconym, jak dotąd. Słuchaj mię młodzieńcze, — dodała z powagą wielką, jam już stara, wiele rzeczy przeżyłam i widziałam, i nieraz patrzyłam na zgubę ludzi, którzy się odbili od wszystkiego co swoje, sądząc, że u obcych znajdą to, czego między swoimi nie znaleźli. I cóż? Do obcych nie mogli przystać sercem, a swoi się ich wyrzekli. Nieraz potem oglądali się za tem co stracili, ale już było zapóźno. Pamiętaj, że i dla ciebie może przyjść czas, kiedy się obejrzyś na zmarnowane życie, na młodość straconą bezpożytecznie, a może nawet szkodliwie dla siebie i dla drugich..

— A gdybym powrócił? — zawołał pan Jan, — czy mogę się spodziewać, że odzyskam dawną wiarę? Straciłem odwagę, widząc dokoła siebie tylko nieufność i niechęć...

— Taki to z waści żołnierz, że od razu tracisz odwagę i trzeba aż, żeby stara jak ja, kobieta, dodawała ci śmiałości, — rzekła kasztelanowa z uśmiechem. No, nie bój się waść, od ciebie zależy odzyskać wszystko, a ja ci będę wiernym sprzymierzeńcem wszędzie.

— O, pani kasztelanowo, — zawołał pan Jan, z uniesieniem całując jej rękę. Nigdy nie zapomnę tego! i niema takiej rzeczy na świecie, którejbym nie uczynił na wasz rozkaz!

— Ja stara, to obejdę się bez takiej służby, — ofiaruj to waść jakiejś młodszej ode mnie, — odrzekła kasztelanowa, patrząc z uśmiechem na pana Jana, który się zarumienił.

(Dalszy ciąg nastąpi).



LISTY TEOFILA LENARTOWICZA

do Eli (Jzabelli)

(od 1871—1893 r.).

(Dalszy ciąg).

XV.

Florencya, 18—6—68

Najłaskawsza Pani!

Edmund de Amicis urodził się w r. 1846 w Oneglia (prowincya Liguria), z familii genueńskiej; studia, jedynie gimnazyalne, odbył w Cuneo, był następnie w szkole wojskowej, z której wran-dze skromnej podoficera wyszedł w r. 1865, a w 1866 znajdował się w nieszczęśliwej dla Włochów bitwie pod Custoza.

W r. 1867 widzimy go redaktorem dziennika florenckiego (czy dyrektorem) Italia militare. Po zajęciu Rzymu, przyczem służył w wojsku jako wolontaryusz, wziął dymisyę i cały oddał się literaturze. Ma to być człowiek miły w towarzystwie, przystojny, zresztą nic więcej o nim dowiedzieć się nie mogłem, ani gdzie się znajduje, ani jakich przygód doświadczał, podróżuje i pisze bardzo zajmująco swoje podróże: po Konstantynopolu, Maroku, Hiszpanii, Holandyi i t. d.

Jego „Szkice obozowe“ zwróciły na niego uwagę, podróże i wreszcie dzieło, o którym szanowna pani wspomina.

W podobnym rodzaju jak „Il cuore“ nie nie pisał; gdzie mieszka, czy ma familję, dzieci, nie wiem, — tak dalece tu bowiem autorami się nie interesują — osobiście go nie znam.

Na zaprosiny do Włoch nie zważaj tak dalece,

szanowna Pani, jestto zwykła grzeczność i wizytę G. nie licz także, rzeczy takie gadają się (na południu), żeby gadać. Hiszpan ofiaruje cały swój dom, ale uważany byłby za barbarzyńcę, ktoby najmniejszą przyjął grzeczność. Parole, parole, parole!

Od lat 30 jak jestem we Włoszech, ledwie parę razy na obiad byłem zaproszony.

We Florencyi bywam często u pp. Pisani, których gościnność pochodzi ztąd, że p. Róza Pisani jest Polką, z domu Bauerhertz, bardzo godna osoba.

A nb. ci państwo Pisani mają córeczkę, dziś 14-letnią, która w blizkim czasie, jestem pewny zagasi talentem pisarskim wszystkich pisarzy włoskich. Genialne, cudowne dziecko! co ona dziś nie pisze, i to z jednakową werwą i talentem równie po włosku, jak po francuzku i angielsku. Przytem gra ślicznie na fortepianie i wyreza matkę, często zapadającą na zdrowiu, w gospodarstwie domowym. Cudowny okaz.

O moich zajęciach niewiele mogę powiedzieć, piszę, pracuję, lepę figurki, — ale cóż kiedy tego kraj nie zobaczy — drukują tam jakieś drobiazgi w Warszawie od czasu do czasu, na edycję zapocziwają zkad tu wziąć grosza?...

Ze zdrowiem — ot nędza — stara myśl jednaka nie opuszcza, ani nadzieja, że kiedyś będzie lepiej, kiedy pogniją zielska na zapomnianej mogile.

Przyjmij, zacna Pani, wyrazy najgłębszej czci Teofil.

XVI.

Florencya, 20—12—89.

Najczcigodniejsza Pani!

Wielkość i wielkość, i wszyscy my chorujemy na tę manję wielkości, zbywając z myśli, że tylko równość i równość chrześcijańska zbawić nas może, zwrócić do obowiązków i do ukochania tej świętej ziemi naszej, która nam położyła się pod nogi — ona matka, kolebka i grób nasz. Aureliusz był pysznym, a że pisma brata jego s. p. Karola Balińskiego na świat nie wyszły, on był przy czyną; zgłosił-że się z chęcią ich wydania, a tych, którzy mogli to zrobić, do s. p. najczcigodniejszego męża Mieczysława Darowskiego, o mnie, który ostatni grosz byłbym na to poświęcił, do s. p. Rembowskiemu, do Mieczysława Pawlikowskiemu? — do nikogo; chodź do księgarzy, a cóż to za ludzie? — kupcy.

Pytasz się, zacna Pani, co robię? w tece mojej mam przygotowane do druku:

1) „Sędziowie ateńscy,“ poemat mający analogię z czasem, w którym żyjemy.

2) „Myszynieccy,“ powieść gminna moja najlepsza o synu Piasta Kołodzieja.

2) „Trzej artyści odrodzenia: Jan Anioł, Michał Anioł, Rafael Archanioł.“ (Zorza wolności włoskiej, pojawiająca się na płótnach i kamieniach).

4) Większych rozmiarów w formie dramatycznej poemat „Eutanasia“ (nicość).

W Warszawie drukuję ustęp z niewykonalnego poematu „Mefisto“ (wieża Eifel) w Bibliotece Warszawskiej, a prócz tego drobnych list jest na tomik spory.

Napisałem wspomnienie o s. p. Bohdanie Zaleskim, rzecz około 15 arkuszy, które wydrukowała Gazeta narodowa, i napisałem teje same rozciągłości wspomnienie o pedagogu s. p. Janie Leszczyńskim.

Wyrzeźbiłem, odlałem w bronzie i sprzedawałem w Paryżu Danta Alighieri i posążek Adama Mickiewicza.

Rozpocząłem płaskorzeźbę, jednego metra rzecz, która zdaje się, że mi się udała.

Zrobiłem parę małych biuścików zmarłym przyjacioł i przewertowałem setki książek w bibliotece publicznej.

Z czego wszystkiego nie robię sobie żadnej usługi, nie pracując bowiem, w samotności żyć bym nie mógł.

Straty najboleśniejsze przyjaciół, jak s. p. Darowski, pani Occonell, pani Wierzbowska i tylu innych, rujnowały mnie i w proch kładły, oszczerstwa bolały, choroby gnębiły, trwoga o utratę jedynej tu przyjaciółki, chorej niebezpiecznie 58-letniej osoby, napełnia niezastanną niespokojnością — oto obraz, który zażądałaś, zacna Pani, żebym odkrył przed Tobą.

Życzeń dla siebie innych nie mam, jak widzieć wydrukowane to, co popisałem, i jeśli Bóg pozwoli, zobaczę; uciulałem sobie bowiem tyle, że na edycję wystarczy, jeżeli Bóg zdrowia do wiadny użyty, w którym to czasie pojedą do Wiednia i tam wydrukuję, choćby zgniół, jak zgniół Rytmu moje, wydrukowane we Lwowie przez człowieka, który całą edycję złożywszy gdzieś w wilgotnej piwnicy, zgniół.

Życzę drogiej Pani zdrowia i spokoju duszy, resztę można zwyciężyć. Obecnie trzymam się prawie ledwie na nogach, przyciśnięty bezbrzeżnym smutkiem po stratach i z powodu przewidywanej straty, jaka mnie spotka. Zimno tu bardzo — z Polaków niema prawie nikogo — stacyi nie opalić, tak wieje wszystkimi szparami — pusto choć ludno — z Włochami stosunki bez żadnej wartości — zimna grzeczność i nic więcej. Dzięki drogiej, zacnej Pani za bratek, symbol nieegzystujących uczuć — ot, jeden jedyny brat, konający brat Mieczysław (Darowski) na godzinę przed śmiercią posyła błogosławieństwo, a drugi brat Józef Kraszewski z za grobu miłościwie słowem wspomina (Tygodnik Ilustr.)

Polecam się sercu Pani i pamięci
Teofil.

Ot, kto nie miał pychy: Domejko, Darowski, Józef Zaleski, brat Bohdana, Kazimierz Brodziński, Gustaw Zieliński, — nad tymi stał anioł cichy.

I s. p. Karol (Baliński) miał wadę goryczy palącej — jego poemat „Męka Chrystusa“ zimny, bez prawdziwego natchnienia; w lirykach jest soba, już poeta, jak bądź gardził poezją słowa — gorączka trawiąca ideału zużyła go, — spokoju twórczego, prawdziwie Chrystusowego, nigdy nie miał, bolał i gryzł wiecznie smutny chorobliwym smutkiem. Myśli jego w prozie wzniósł, kiedyś podniosł.

Czas jest pełen grozy, a każdy z nas dotrzeć musi na swem stanowisku. Bohaterskich czynów i doskonałości wymagać od wszystkich niemożna — ludzie jesteśmy nie bogi, pełni słabości, a kto się za innego podaje, kłamie — nie ubóstwiamy się, kochajmy tylko.

XVII.

Florenca, 20—5—90.

Najlaskawsza Pani! Bardzo byłbym szczęśliwy, gdyby mi się udało znaleźć nakładcę na pisma s. p. Karola *) (Balińskiego), ale jakże to polecać rzecz, której się nie zna i jak można być pewnym interesu dla idei u publiczności, jeśli ta dzisiejszemu ogólnemu prądowi społeczeństwa nie odpowiada?

Cobądź napisał s. p. Karol, nie może być jak zacnem, szlachetnem, mimo to trzebaż poznać rękopism, jeżeli się więc zawlokę do Krakowa, poszukam tej Pani i przejrzę pisma, a następnie będę mógł starania jakieś przedsięwziąć.

To co słyszę o Karolu i jego spotkaniu się przed zgonem z panną M. pocieszające; w jego biografii szereg ten rozświeci życie chmurne, nieszczęśliwe a pełne poświęceń — tak powinno było stać się i stało.

Są ludzie, za którymi słońce przed nocą wieczną nie ogląda się, przed tą pracą konania — i takich dużo, dużo.

Nie odpisałem czcigodnej Pani natychmiast dla powodów, o których zamilczę lepiej, ot, jak

*) Mowa tu o niektórych pismach K. Balińskiego, zestawionych przez niego narzeczonych we Lwowie, p. Mlockiej.

powiada Kochanowski: „nieznajomy wróg jakis miesza ludzkie rzeczy ..“

Smutno...

Za kilka dni, unikając zabijających upałów, jadę do Bolonii, zkąd do Wenecji, Gratzu, Wiednia i do lasów w ojezynie odetchnąć naszym żywicznym i żywym powietrzem.

Kiedys wspominała mi Pani o chęci poznania nagrobka s. p. Stanisława, więc jej przesyłam fotografię z pierwszego szkicu w glinie, lepiej to wykończone wygląda; kiedy indziej prześlę powarowane, dziś przyjmij, zacna Pani, jakie jest, razem ze słowami wysokiej cześci, z jaką pozostaję.

Prawdziwy sługa
Teofil.

(Dokończenie nastąpi.)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 14 Maja.

W naszej uprzywilejowanej stolicy karnawał wiosenny wrę w całej pełni. Zaczynają go w Marcu konkursowe wyścigi konne, a kończy dopiero wielka a także wyścigowa wygrana *Grand Prix*, przypadająca około połowy Czerwca.

Przez ten okres czasu Paryż się bawi i umie się bawić. Wyścigi konkursowe od lat trzydziestu urządzane i pozostające pod opieką najbogatszych członków francuskiej arystokracji, mają za cel podniesienie sportu jeźdźców konnych, i sport ten, trzeba przyznać, kwitnie tutaj znakomicie.

Oprócz tych zapasów konkursowych, zajmujących prawdziwych sportsmenów, bogaty Paryż, a raczej paryżanki, zwykłe na tej również arenie inaugurują swoje wiosenne stroje. I tak się to już utarło od lat wielu, że z tą chwilą następuje otwarcie wiosny, strojnej w różnobarwne, wykwiłtne, lecz sztuczne szaty.

Za to otwarcie dwóch artystycznych salonów odbywa się zwykle przy naturalnej zieleni drzew i woni kwiatów. Niedawno ta uroczystość artystyczna, entuzjastycznie zajmująca cały Paryż, odbyła się z bajecznym napływem eleganckiego tłumu

Galerya maszyn, olbrzymia hala, pozostała po ostatniej powszechnej wystawie, służy za arenę artystycznych popisów dwóch salonów sztuk.

Oddzielone baryerą drewnianą i moralną, dwie grupy artystów stowarzyszonych, musiały *volens nolens* znaleźć się obok siebie, dla braku odpowiedniego pomieszczenia. *Palac przemysłu*, gdzie przez kilkanaście lat istniał salon artystów francuskich, należy już do przeszłości, zburzony dla robót powziętych do przyszłej wszechświatowej wystawy.

Przed dziesięciu laty inna grupa stowarzyszonych artystów stworzyła drugi salon sztuki pod nazwiskiem *Société nationale de Beaux Arts*. Brak odpowiedniego miejsca złączył w tym roku obydwie salony razem.

Towarzystwo artystów francuskich zajęło dwie pierwsze sale wielkiej hali, stowarzyszeni drugiej grupy olbrzymią trzecią salę.

Pierwsi udrapowali i przybrali fasadę i salę wewnątrz w barwy narodowe, obóz przeciwny zawiesił jasne, żółte draperye.

Jedne i drugie przesłicznie wyglądają, a taka zmiana dekoracji dopomaga do łatwiejszego zorientowania się w położeniu.

Na takim połączeniu salonów zwiedzający zyskali wiele czasu i zaoszczędzili pieniądze na przejazd z jednego do drugiego salonu.

Za to owo pozorne połączenie przedstawia wiele trudności i niedogodności dla sprawodawców sztuki. Biedny krytyk, chcąc dać jakie takie pojęcie o salonie np. o jego otwarciu, może

doprawdy nogi stracić od biegania po tej olbrzymiej ciepłarni, napełnionej 7593 dziełami sztuki.

Katalog salonu z Pól Elizejskich zawiera 5024 numerów, zaś dawny salon z *Champs de Mars* wskazuje 2569 dzieł. Na szczęście dla krytyków i zwiedzających, środkową kopułę gmachu przemieniono na wspaniałą, cienisty ogród, zapelniony rzezbami. Pokrzepieni od czasu do czasu wypoczynkiem w ogrodzie, ochłodzeni kroplami wody, spadającej wysoką kaskadą w zbiornik, lub różnymi chłodzącymi napitkami w bufecie restauracyjnym, możemy wytrzymać choćby dzień cały na zwiedzaniu.

Dwie olbrzymie sale, mieszczące salon towarzystwa artystów francuskich, podzielone są na 29 pomniejszych sal.

W pierwszej sali, oznaczonej numerem 5, nawprost wejścia, uderza oczy i wprawia w zdumienie bajeczną wielkością, obraz M. Beraud'a, zatytułowany *L'Eternelle chaîne*. Obraz przedstawia olbrzyma, otoczonego gronem tańczących kobiet. Na przeciwnej ścianie „Wiara“ Hipolita Fournier'a tak samo zdumiewa nas wielkimi a niepotrzebnymi rozmiarami dzieł specjalnie do salonu corocznie wykonywanych. Oto i wszystko, co się o nich da powiedzieć. Inne dzieła w tej sali niczem nie uderzają.

Za to w sali 7-ej wspaniała kompozytorka Ed. Detaille'a ściąga tłumy widzów. Na tle zachodzącego słońca, obraz przedstawia koniec przeglądu wojsk w Châlons w 1896 r. w chwili, kiedy powóz prezydenta unosi parę cesarską do stacyi kolei w Bouy, między dwoma rzędami konnej kawalerji, salutującej wydobytemi błyszczącymi pałaszami. Tym wszystkim, którym jest znany talent znakomitego artysty, łatwo zrozumieć, jak on się wywiązał z tego zadania, dodać tylko trzeba, że tak układem kompozycji, jak rysunkiem i kolorytem należy do znakomitszych dzieł tego artysty.

Do najlepszych tego samego rodzaju kompozycji w tegorocznym salonie towarzystwa artystów francuskich zaliczyć jeszcze można: *Bitwa pod Waterloo* M. Flamenga, oraz wielki obraz G. Roussela, zatytułowany *Empereur*, czyli wprowadzenie popiołów Napoleona I do kaplicy kościoła Inwalidów 15 Grudnia 1840 roku. Uroczyste i wzruszające wrażenie chwili doskonałe umiał uwydatnić artysta.

Do rodzajowych doskonałych kompozycji należą dzieła *La Lire immortelle* Abla Boyé, *Processya* Karola Duvent, bardzo poważne i szczere dzieło; *Jubileusz królowej Wiktorji* Lorkhardt'a, *L'apparition aux Berger's* H. Cain'a, *Niedziela w Hollandji* Mac Evena, *Plaża w Walencji* Sorella, oraz *L'Ex Voto* Henryka Rogera. Do tej samej grupy dzieł należą również dwa przesłiczne obrazy Gerôme'a *Daphnis i Chloe* i *Kobieta w kąpielu*. Są to ulubione tematy wielkiego artysty, jak zawsze znakomicie wyzyskane.

Wspaniałe pejzaże wyrafinowanego pędzla francuskich malarzy, uderzyć muszą nawet niezawców sztuki. Dzieła takich kolorystów i plannairystów jak Harpignies, Cazin, Breton, Lancy, Dubois i kilku innych, są perłami salonu.

Jednak siłą największą, atrakcyjną wystawy, są bez zaprzeczenia portrety. Wielcy mistrze królują portretami: Benjamin Constant wystawił portret ministra M. Hanotaux i p. Sahège w kostymie do konnej jazdy, obydwie doskonałe.

Leon Bonnat dał silnie zaakcentowany portret generała Davout i pani Rose Caron, przesłiczny w układzie i doskonały w rysunku, a nade wszystko znakomity w tonie. P. Paweł Buffet z ostatniej swej wycieczki po Abisynii, przywiózł doskonały autentyczny portret negusa Menelika, przed którym codziennie zbierają się tłumy ciekawych. Przesłiczny portret młodej dziewczyny w czarnej sukni Hennera należy do arcydzieł.

Malarstwo dekoracyjne przedstawiają w Salonie najlepiej panowie: Cormon plafony; *panneau* przeznaczane do sali muzeum; *Roche-grosse*, *Śpiew muz*, obraz dekoracyjny, przeznaczony do Biblioteki w Sorbonie; Paul Simboldi *Przemysł*, wykonany do sali Ministerjum handlu i przemysłu; P. Steck tryptyk *Symjonia tonów* i Rafael Collin, wystawiający wspaniałą pan-

neaux decoratif, przeznaczony do małego salonu nowej Opery komicznej.

Chcąc pomieścić rzeźbę na końcu, przejdźmy do Salonu *Towarzystwa narodowego sztuk pięknych*. Mniejszy rozmiarami przestrzeni i ilością dzieł Salon Tow. narod. szt. pięk., zawiera kilkanaście dzieł prawdziwej artystycznej wartości, które pobieżnie notuję. Tak zwanym *clou* wystawy, jest portret pani Réjane, artystki z komedii francuskiej, pędzla M. Bernard'a, arcydzieło w swoim rodzaju. Prześliczne portrety i pejzaże paryżkie Raffaello. Osiem wspaniałych pejzaży Cazin'a i prześliczne w swej prostocie, wspaniałe dzieło Puvis de Chavannes'a, wielkie *panneaux* dekoratif dla Panteonu, wyobrażające Św. Genowefę czuwającą nad uspiącem miastem. Powaga, spokój pejzażu nocnego, wielkość a zarazem skromność epiczna kompozytorki, czynią z niej arcydzieło prawdziwego natchnienia.

Olbrzymią panoramę Paryża spowitego w mgły nocne wystawił E. Carrière. Jest to również panorama dekoracyjna przeznaczona do Sorbony, ale z poprzednim równać się nie może. Do znakomitych dzieł należy obraz Dagnan-Bouveret'a wyobrażający Chrystusa idącego z dwoma pielgrzymami do Emaus.

Malarz belgijski Leon Fréderic wystawił wielki tryptyk *les Ages de l'ouvrier* doskonały w kompozycji i wykonaniu.

Kilkudziesięciu doskonałych portretów niepodobna jest notować.

Nim zdołam obejrzeć rzeźbę chcę jeszcze powiedzieć kilka słów o obrazach naszych polskich artystów.

Obydwa tegoroczne salony nie dadzą zbyt pochlebnego przekonania o rozwoju polskich talentów. Nasi znakomitsi artyści nic nie nadesłali i sztuka polska bardzo słabo jest w tym roku reprezentowana.

Zapewne dzieje się to skutkiem dziwnej gospodarki panów, należących do jury, których miłość własna i ambicja narodowa usuwają obrazy cudzoziemców na plan dalszy, wskutek czego złe umieszczone dzieła nietylko nie zwracają w takim razie na siebie uwagi, lecz nawet wprost niekorzystnie wywierają wrażenie.

Parę lat temu mieliśmy dowód tej niechęci na obrazie Brandta; dawniej zdarzało się to Chełmońskiemu, Malczewskiemu, Gersonowi i wielu innym.

I tego roku w salonie towarzystwa artystów francuzkich, profesor Gerson znów został pokrzywdzony złem umieszczeniem jednego ze swych obrazów, zatytułowanego w katalogu „Une dame orientale;“ za to dobrze umieszczony i doskonały w pojęciu i wykonaniu jest drugi jego obraz, przedstawiający dwie siostry w żałobnym stroju. Znać, że to dzieło dzielnego, sumiennego i wytrawnego artysty. „Awangarda wielkiej armii na brzegach Niemna“ Jana Rozena nie przyczyni się do oświecenia polskiej sztuki w salonie. Grupa żołnierzy, zjeżdżających z górzystego stoku, nie ma życia, a kolorystyka krajobrazu jeszcze gorzej nie dopisała artyście. P. Edward Loewy wystawił obraz, przedstawiający wnętrze gabinetu p. Montorgueuil, znanego paryżkiego dziennikarza. Obraz poprawnie malowany, (szczególniej głowa sportretowanego p. Montorgueuil); sprawia jednak chaotyczne wrażenie z powodu mnóstwa akcesoryj, to jest najprzeróżniejszych gracików, zapelniających gabinet. P. Feliks Słupski, uczeń Collin'a, wystawił doskonały w technice portret, któremu tylko zarzucić można brak koloru.

Drugi portret, pędzla p. Olepińskiego, nie posiada natomiast żadnych zalet, a nawet zdradza zupełny brak dobrego rysunku. Za to prześliczną

jest pastelowa głowa pędzla rodaczki naszej p. Natalii Wiśniewskiej i doskonale wykonany rysunek p. K. Mrówczyńskiego, stanowiący ilustrację do „Pana Tadeusza.“

Katalog wystawy podaje jeszcze kilkanaście nazwisk polskich, nie wymieniając jednakże ich narodowości i dlatego nie wiem, czy ich mam zaliczyć do grupy artystów polskich.

W obok mieszczącym się salonie niezależnych, spotkałem tylko dwa nazwiska polskie: pp. Leopolda Andrzejewskiego i Kazimierza Markiewicza. Pierwszy wystawił kilka bardzo dobrych krajobrazów, drugi dwa portrety i duży tryptyk, szkic do obrazu, zatytułowany „Chleb.“

Oto i wszystkie polskie dzieła, jakie zauważyć się dały w dwóch salonach.

A teraz chcę pomówić kilka słów o francuskiej rzeźbie, w tym roku jak i zwykle świetnie reprezentowanej.

Niepodobna jest dać zupełnego pojęcia o wielkiej ilości nagromadzonych rzeźb w olbrzymim ogrodzie dwóch Salonów. Sztuka francuzka w tym kierunku robi olbrzymie co rok postępy tworząc zastępy dzielnych rzeźbiarzy i znakomitych mistrzów. Do takich należy—A. Mercie, wystawiający w tym sezonie prześliczną w modelacji i wykonaniu „Psyche na skale“ i M. Moreau wystawiający wspaniałą grupę, „Rynsztunek Achillesa.“

Dzielna postać młodzieńca wyobrażającego „Siłę osłaniającą prawo“ jest dziełem Eug. Marrotona. Do znakomicie pomyślanych zaliczyć trzeba pomnik Fr. Garnier'a wykonany przez p. Pucha.

Grupa zatytułowana „Na schyłku“ dłuta L. Steinera, wyobrażająca dwoje starców, wywołuje wielkie wrażenie, doskonałym uwydatnieniem rysów późnej spokojnej zrezygnowanej starości.

O nowych książkach, i nowych teatralnych sztukach nadeszły wkrótce obszerniejszą korespondencję.

C. H.

Sprawozdanie za rok 1897

Towarzystwa Opieki nad ubogimi matkami oraz ich dziećmi.

W skróceniu podajemy sprawozdanie instytucji za rok 1897. Widzimy z niego, że przychód w ogólnej cyfrze wynosił 13,849 r. 50 k. Rozchód wydatków wynosił 13,421 r. 5 k. Zakład był czynny w r. 1897 przez 8 miesięcy (czyli dni 243). Liczba członków Towarzystwa na 1 Stycznia 1898 r. wynosiła 356. Liczba dzieci urodzonych w zakładzie 227. Na rok 1898 pozostaje pod opieką Towarzystwa dzieci 213. Legat ś. p. Edwarda Czabana wynoszący 15,000 rubli nie wpłynął jeszcze dotychczas do kasy Towarzystwa. Suma ta jest przeznaczoną na spłacenie długu 9,000 r. obciążającego nieruchomość przy ulicy Wspólnej. Wydatki na kanalizację domu przy ulicy Hożej N. 70, zostały tylko w części pokryte z funduszu żelaznego, dla pokrycia reszty, Towarzystwo zamierza zaciągnąć pożyczkę kanalizacyjną w Towarzystwie Kredytowym m. Warszawy. Oto są główne cyfry działalności Towarzystwa, którego cele, pożyteczność i trudne jak dotąd wa-

runki rozszerzenia zakładu polecamy najgoręcej hojnym sercom dobrych ludzi a mianowicie kobietom, których wzruszyć tem łatwiej może niedola matek i dzieci.

MYSŁI.

Trzeba wyrobić w sobie przyzwyczajenie czynnego życia bez szczęścia ani nadziei.

George Eliot.

Nie podobna dokonać rzeczy wielkich, gdy myśl nasza w drobiazgach jest zatopiona.

Plutarch.

Szukając szczęścia dla drugich znajdujemy własne.

Platon.

Kolonje letnie.

Siedemnasty rok z rzędu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku.

Zwiększając corocznie liczbę dzieci wysyłanych na wieś staraniem Kolonii Letnich, w roku ubiegłym osiągnęliśmy pokaźnej cyfry 2150; stosunkowo do potrzeb i warunków naszego miasta, jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebom.

Zatwierdzone od roku przez J.W. Ministra Spraw Wewnętrznych Towarzystwo, z całą wiarą odwołuje się do naszego społeczeństwa, wiedząc dobrze, jak chętnie śpieszy ono zawsze z pomocą potrzebującym.

Kolonje letnie dotychczas istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar, i w tym roku przeto przystępujemy do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, nie mogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzione nie będą, a liczba wysłanych na wieś przewyższy dotychczasową.

W celu zebrania potrzebnego funduszu, odwołujemy się do J.W. Państwa z uprzejmą prośbą o przyznienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Ofiary składać prosimy na ręce skarbnika dyrektora Aleksandra Czajewicza w biurze Dyrektora Tow. Kred. Miejskiego (Włodzimierska, 25), oraz w redakcyach pism.

Dr. Ciechowski Andrzej, Czajewicz Aleksander, Godlewski Stefan, Higersberger Wanda, Dr. Kosmowski Wiktor, Konie Henryk, Dr. Markiewicz Stanisław, Dr. Natanson Antoni, Pawińska Jadwiga, Rotwand Stanisław, Szlenkier Jan, Dr. Tomaszewicz-Dobrska Anna, Wieniawski Julian, Ks. Wroniecki Mieczysław, Zakrzewski Adam.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 12 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Dobroduszne pomyłki, przez Szczęsną.—Stanisław Nałęcz-Ostrowski. **Idealy** niewieście poetek polskich. Studium etyczne-literackie (dalszy ciąg).—Teodor Körner. **Wierność do grobu**, przekład Władysława Nawrockiego.—**Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—**Listy Teofila Lenartowicza do Eli (Izabelli)** (od 1871—1893 r.) (dalszy ciąg).—**Nowiny paryżkie**, przez C. H.—**Sprawozdanie za rok 1897 T. opieki nad ub. matkami oraz ich dziećmi.**—**Myśli.**—**Kolonje letnie.**

Dodatek obejmujące: Masarenowie, powieść, przez Ouidę, arkuś 12 T. II. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.